



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.



B A Ś Ń O zaklętej królownie i dzielnym ŻAKU.

W cudnym kraju, kraju baśni
Wiecznie trwa radosny maj,
Tam nie znają ludzie waśni,
Bo to baśni cudny kraj.

Wieczność całą kwitną kwiaty,
Wiecznie lśni równości kwiat;
Tam, czy biedny, czy bogaty
Równi — jako bratu brat,
Miłość bliźnich drga wśród serc;
Więc w tym kraju, jako w maju,
Wszystko zgodnie i pogodnie.

Myszą wzlatać nad gór szczyty,
Ponad szczyty siedmiu gór, —
Myszą wzlatać pod błękity,
Pod błękity, wyżej chmur, —
Siedm mórż przepłynąć musi
I rzek siedm przebyć w bród,
Kogo raz ciekawość skusi
I kto zada sobie trud

Poznać mojej baśni kraj.
A w tym kraju, niby w raju,
Wszystko lśniące, jako słońce.

* * *

Na wysokiej, szklanej górze,
Wyższej od najwyższych skał,
Która szczytem ginie w chmurze,
Zamek złoty cały stał.
Ze złota kowane ściany,
Ze srebra odrzwia u bram,
Ze złota cały kowany,
Świecił jak wspaniały chram,
W jaśniejących blaskach zórz.
Góra szklana, szlifowana,
Na szczycie — zamek w błękicie.

A przed zamkiem jabłoń była,
Na niej jabłek wiele set,
A tych jabłek dziwna siła: —
Ten do zamku wszedłby wnet,
Ktoby zerwał jabłko złote...
Jabłko złote, złoć się, złoć!
Wielu miało już ochotę
I rycerzy wielekroć
Zerwać jabłko. Nie mógł nikt,
Któż co wskóra — szklana góra,
Choć z ostrożną wejść nie można.

A w srebrzystej tam komnacie,
Jako ósmy świata cud,
W usianej gwiazdami szacie
Lśniacej niby fale wód,
Była królowna zaklęta,
O dziwnej piękności lic,
Kto ją ujrział — nie pamięta,
Nie pamięta ten już nic,
Bo królowna zajmie myśl,
Bo królowny uśmiech rzewny,
Jak czarami, duszę mami.

Więc do zamku moc rycerzy
Biegło, by się wedrzeć doń.
Lecz napróżno każdy bieży.
Choć podkuty ostro koń,
Chociaż zapał w piersiach płonie,
Duma bije z czoła, warg, —
Spadają rycerze, konie,
Łamią nogi, kręcą kark,
Nim wejdą na góry szczyt.
Trudna rada — każdy spada,
Któż co wskóra — szklana góra.

A królowna z okna patrzy
Na rycerzy zbrojnych w stal;

Gdy kto ginie, na dół spadłszy,
 Serce jej przenika żal,
 Łzami oko jej zachodzi
 I drga szybciej czarna brew.
 Ci rycerze tacy młodzi,
 Tak dorodni, swoją krew
 Przelewają, dla niej mrąc.
 Na tych, którzy u podnóży
 Patrząc zblizka — serce ściska.

* * *

Za trzy doby już się kończy,
 Już się kończy siódmy rok,
 Wtem w złocistej mknie opończy,
 Mknie na koniu rycerz wskok;
 Któż uwierzy, dziw nad dziwo,
 Jakby przez kwiecistą błoń,
 Z rozpuszczoną na wiatr grzywą
 Szparko mknie pod górę koń.
 Lecz nie mogąc na szczyt wbiedz,
 Z góry stoku w pełnym skoku
 Istne dziwy! — wraca żywy.

Pierwsza próba się powiodła,
 Więc nazajutrz ledwie świt
 Rycerz wnet rumaka siodła
 I na góry pędzi szczyt.
 Rumak pędzi, aż się pieni,
 Aż z pod kopyt lecą skry,
 Rycerze patrzą zdumieni
 A królownie serce drży:
 Wejdzie, czy też spadnie w dół?
 A po chwili, czy wzrok myli,
 On już stoi u podwoi.

Już królowę wzrokiem goni,
 Pod nim parska dzielny koń,
 Rycerz jedzie do jabłoni,
 Po jabłko wyciąga dłoń.
 I dumnie spoziera w okół
 Na stojący w dole tłum;
 Wtem się zerwał wielki sokół,
 Rozległ się w powietrzu szum,
 A sokół na konia wpadł,
 W łeb i szyję konia bije,
 Skrzydłem macha — koń się stracha.

Rumak parska, nozdrza wzdyma,
 W bok się rzuca, stąpa wstecz,
 Rycerz mocno wodze trzyma,
 Wyjął z pochwy ostry miecz,
 Ostrogami spał rumaka,
 Machnął mieczem z całych sił,
 Sokół wzleciał — chybił ptaka,
 I sam z koniem upadł w tył,
 Upadł, i stoczył się w głąb.
 Marą płonną wjechać konno,
 Nie podoła nikt sokoła.

* * *

(d. c. n.)

Adam Lach Szymański.



Od Henryka Sienkiewicza.

Wszystkim okolicom kraju, wszystkim miastom, wszystkim instytucjom naukowym i społecznym, stowarzyszeniom, klubom, redakcyom oraz wszystkim osobom prywatnym, które czynem lub słowem raczyły wziąć udział w obchodzie jubileuszowym mojej 25-letniej pracy piśmienniczej, przesyłam wyrazy najserdeczniejszej podziękności.

Henryk Sienkiewicz.

St. Kramosztyk.

Swieca i lampa w wieku dziewiętnastym.

(Dokończenie).

Niemniej ważny przewrót w oświetleniu sztucznym nastąpił, gdy zaczęto do lamp używać olejów mineralnych. Dawniej służyły do lamp jedynie oleje roślinne, dobrane z nasion i owoców różnych roślin, jak lnu, orzechów, drzewa oliwnego. W wielu jednak okolicach, w Ameryce północnej, na Kaukazie, a bliżej nas w Galicyi, w pobliżu gór Karpackich, znajdują się w łonie ziemi źródła oleju naturalnego, który nazywamy olejem mineralnym, ziemnym albo skalnym, dla tego, że dobywa się wprost ze skał, z głębi ziemi, pospolicie wszakże — naftą. Z tak gotowego już daru przyrody korzystać nie umiano, w wieku dopiero dziewiętnastym poznano, że olej skalny daje się użyć do oświetlenia, podobnie jak oleje roślinne, i może je korzystnie zastąpić. Olej skalny wyróżnia się od roślinnych tem głównie, że jest od nich lżejszy i płynniejszy, a stąd w włóknach knota łatwiej się ku górze posuwa. Dawne lampy, do olejów roślinnych służące, posiadać musiały zawiłe urządzenia dodatkowe, by ciężki olej przemocą w górę wtłaczać, ztąd były kosztowne, częstą się psuły, nie każdy umiał się z nimi należycie obchodzić. Lampy naftowe takich dodatków pomocniczych nie wymagają; nafta mieści się w zbiorniku, znajdującym się pod ogniskiem, a stąd do szczytu knota dopływa swobodnie, żadnym zgoła naciskiem do tego nie zagnana. Tak samo przecież dzieje się, gdy w wodę zanurzamy rurkę bardzo wąską, włoskowatą; w rurce takiej woda wznosi się i posuwa tem wyżej, im ta jest węższa. Podobnie wdziera się w górę nafta ze zbiornika w skutek włoskowatości knota, który jest jakby spletem wąskich rurek. Dla prostszej swej budowy jest lampa naftowa znacznie tańsza, aniżeli dawne lampy olejowe, stała się więc dostępną i dla ludzi ubogich, dla których niegdyś lampa była zbytkiem.

Najbardziej jednak uderzający postęp oświetlenia sztucznego przypada na ostatnie dziesięciolecie wieku dziewiętnastego, gdy zapłonęło światło elektryczne. Już przed stu laty wprawdzie wiedzano, że drut, po którym silny prąd elektryczny płynie, rozgrzewa się, rozżarza i świeci, a potężne zwłaszcza, olśniewające światło rozpalono, gdy prąd elektryczny przepuszczono między końcami zetkniętych ze sobą prętów węglowych, ale z odkrycia tego nie można jeszcze było w owym czasie korzystać do celów praktycznych, otrzymywanie bowiem silnych prądów elektrycznych było bardzo kosztowne i kłopotliwe. Dopiero zatem, gdy zbudowano maszyny dynamo-elektryczne, które wytwarzają prąd elektryczny łatwiej i taniej, zaczęto lam-

pami elektrycznymi oświetlać ulice miejskie, fabryki i mieszkania. Lampy elektryczne posiadają rozmaite urządzenia i wydają światło różnej mocy; najpotężniejsze, służące do oświetlenia latarń morskich, wytwarzają jasność, na jaką trzeba użyć sto lub dwieście milionów zwykłych świec stearynowych.

Światło elektryczne stało się zatem groźnym rywalem gazowego, ale gaz broni się i pokonać się jeszcze nie daje, zbrojąc się do tej walki w ciągłe ulepszenia. Bardzo korzystnym okazało się zwłaszcza wprowadzenie do płomienia gazowego siatki z cienkich drucików złożonej, która w płomieniu tym rozpala się do białości i jasności jego silnie podsyca. Urządzono nawet lampy, w których się gaz oświetlający wytwarza, tak że każda z nich jest zupełną, samodzielną fabryką gazu. W lampach tych znajduje się materiał, zwany przez chemików węglikiem wapnia, a posiadający osobliwą własność; skoro bowiem zostaje zroszony wodą, wywiązuje natychmiast gaz zwany acetylenem, który pali się płomieniem znacznie nawet jaśniejszym, aniżeli zwykły gaz oświetlający. Lampy acetylenowe wynalezione zostały przed kilku dopiero laty, a chociaż posiadają pewne jeszcze niedogodności, w wielu razach dały się użyć korzystnie.

Jeżeli teraz ze wstrętną świecą łożową i skromną lampką nocną zestawimy wytworną świecę stearynową i potężną lampę elektryczną, przyznamy, że w ciągu stulecia w dziedzinie oświetlenia sztucznego dokonany został postęp olbrzymi i uderzający. Nie doszedł on wszakże kresu swego, lampy bowiem dzisiejsze i wszelkie środki oświetlenia sztucznego wymagają dalszych jeszcze udoskonaleń. Największą ich wadą jest to zwłaszcza, że niepotrzebnie nas grzeją; żądamy od nich przecież światła tylko, a one rozsyłają zarazem i ciepło, nieraz dokuczliwe i szkodliwe. Piec, skoro w nim napalono i zamknięto go już, zroszyła na izbę tylko promienie ciemne, nieświecące, grzejące nas jedynie. Płomień lampy, obok pożądanego dla nas promieni jasnych, daje zarazem i te promienie ciemne, które tym razem są zbyteczne. Od słońca otrzymujemy także promienie jasne i ciemne, ale przecież promienie słońca nie tylko do oświetlenia służą, mają, spełniają mnóstwo innych czynności, roznoszą ciepło, utrzymują życie. Przy oświetlaniu sztucznym idzie nam wyłącznie tylko o światło; gdy potrzebujemy ciepła, otrzymujemy je oddzielnie przez opalanie pieców.

Promienie jasne, świetlne, które nam umożliwiają widzenie, czynią drobną zaledwie cząstkę wszystkich promieni, przez palenie powodowanych; wszystkie więc ten nadmiar promieni ciemnych, grzejących, przez lampę beużytecznie rozsyłanych, stanowi istotną stratę. Za węgiel, którym opalamy piece nasze, płacimy przecież. Tak samo kosztuje nas i ciepło, które dają lampy, ale ciepła tego nie pragniemy, nie jest pożądanego, jest nawet szkodliwe, nakład więc na to ciepło trwonimy beużytecznie; nasze lampy i świece są nader marnotrawne, wszelkie metody utrzymania światła są dotąd zbyt kosztowne.

Doskonalszą lampę posiada robaczek świętojański, gdy podczas wieczorów letnich uwija się, jak drobna gwiazdka błędna. Światło, które rozsyła, nie grzeje go niewątpliwie, w żarze bowiem lampy naszej spłonąłby natychmiast.

Przyroda więc umie otrzymany światło bez ciepła, postępuje daleko oszczędniej aniżeli człowiek, gdy swoje lampę rozpala. Takiej oszczędności przyrody naśladować nie zdołaliśmy dotąd, nie umiemy wzbudzać światła bez ciepła. Jestto zadanie przyszłości, a za sto lat może dzisiejsze nasze lampy wydadzą się niedołącznymi, jak błahemi przedstawiają się nam środki, których do oświetlania używali dziadowie nasi przed stu laty.

Za te wszakże dobrodziejstwa, które już dziś posiadamy, zachowajmy wdzięczność dla tych mężów uczonych, dla tych techników i wynalazców, którzy nas niemi obdarzyli. Dobra bowiem lampka jest prawdziwym dobrodziejstwem, daje nam możliwość pracy wieczornej, dzień nam po-

większa, a stąd życie czyni dłuższem. Użycie jednak two do nadużycia prowadzi. Korzystając z lampy, nawkami zbyt długo czytać przy niej po nocach, a dnia następnego trudno nam się z łóżek zrywać. Niechże więc o co miało być bodźcem pracy, nie staje się podmiotem nistwa.

PANICZYK

przez
Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

— Więc pewny jesteś swego! — uśmiechnął się ojciec.

— Przecież to się czuje, gdy się dobrze odpowiada a widziałem, że profesorowie mieli miny zadowolone. A z początku głos mi drżał, potem to już tak recytowałem jak przy panu Wińskim! — chwalił się chłopiec. Owsze zadowolony nawet byłem, że mogę wypowiedzieć to, umiem, byłbym nawet obszerniej z geografii opowiadał, powiedziano mi: dosyć! i musiałem przestać — mówił Józio z pewną wewnętrzną radością — Wie ojciec, ja nawet więcej umiem, niż do trzeciej potrzeba! — chwalił się dalej.

— No, no, nie przechwalaj się tylko — rzekł ojciec z uśmiechem — a wiadomości swoje zachowaj w pamięć przydadzą ci się w końcu roku.

Przy obiedzie Józio jadł z apetytem. Nic dziwnego wyglądał się przez dzień cały, a radość, że się już po egzaminie, doskonałą była przyprawą. Rozgadał się też po swojemu, opowiadał, jakie mu dawano zapytania, czasem naśladował głos profesora lub udawał jego minę, tylko od czasu do czasu wtrącał:

— Ach, żeby to jak najprędzej mamę uspokoić!

I znów opowiadał:

— Wie ojciec, biorę atrament, chcę pisać, a tu piórze siedzi mucha, czy coś tam! o, źle, myślę sobie — i gdzie kleks, ale zaraz łaps, i zdjąłem, jeszcze mam pałeczki powalane! — dodał, pokazując lewą rękę, doskonale atramentem umazaną.

— Coby to matka na takie ręce powiedziała — śmiał się ojciec.

— Eh, jak tylko się dowie, że zdałem, to i na ręce nie powie! — odrzekł Józio.

Zaczął wszakże wycierać rękę to o spodnie, to o lestronę bluzy, wszystko to jednak na nic się nie zdało, atrament wsiąkł już w naskórek, a postać rozpostartej nuchy odfotografowała się dokładnie na palcach przyszłego gimnazysty.

Nie popsuło mu to jednak humoru; po pozbyciu się troski o egzamin, wrócił mu apetyt i wesołość. Teraz z po zjedzeniu obiadu, wstąpiła weń otucha i rzekł:

— Wie ojczulek, pewien jestem, że zdałem, tak jakoś teraz lekko i wesoło, że gdyby jeszcze mamusia była, no i ta mała Hania — dodał z wyższością — byłby zupełnie szczęśliwy.

I zaraz zapytał:

— Czy zaraz pójdziemy kupić mundur?

— Nie, mój synu; zaczekajmy do jutra!

Józio spojrział na ojca.

— Czy tatuś myśli, że mnie nie przyjmą? — zapytał

— Mam wszelką nadzieję, że cię przyjmą, jeżeliś się nie zbajał przy egzaminie — rzekł ojciec. — Mundur jedna mój chłopcze, kupimy, gdy będziesz już miał ostateczną opinię.

Chłopiec nagle jakoś posmutniał. Wydłużona piątka sięgająca swym zakręconym w górę kapeluszem, ukaza-

mu się znów na wieży kościelnej, tylko teraz była jasna, osłaniała ją słońce.

— To dziwne — rzekł do ojca — gdy szedłem na egzamin, gdzie tylko spojrziałem, widziałem piątki, a teraz zdaje mi się, że widzę wielką, długą piątkę na wieży kościelnej.

— Daj Boże, żeby to było przepowiednią celującego stopnia z egzaminu, a przez cały rok ze wszystkich przedmiotów! — odrzekł ojciec.

I weszli do mieszkania pani Tamkowskiej, u której Józio miał stać na stancyi.

— O, nowak! — szepnął, mijając Józia, jakiś chłopiec. I umyślnie go potrącił.

— To pewnie mój kolega! — rzekł Józio do ojca — potrącił mnie.

W myśli zaś dodał:

— Oddam ja ci — poczekaj!



Chrystyan de Wet, wódz Boerów.

III.

Telegram.

Budy Chrustowskie leżały o dwadzieścia minut drogi od Chrustowa. Niegdyś ciągnęły się tutaj lasy, po wycięciu których jeszcze dziad obecnego dziedzica rozprzedał ziemię drobnym właścicielom. Pobudowali oni bezładnie chaty, które z biegiem lat wrosły w ziemię. Powoli też kawałki ziemi przechodziły coraz to w inne ręce, a znać coraz to więcej próżniacze. Dowodem tego były zachwaszczone pola, odrapane, brudne, z kałużami przed sienią chałupy, rozgrodzone płoty, a brak drzew nadawał całej tej siedzibie nieprzyjemny, przykry prawie wyraz. Mieszkańcy też w ogóle złą mieli opinię w całej okolicy; a jeżeli co komu zginęło, mówiono:

— Oho, pewnie wsiąkło na Budach!

Pan Chrustowski, często miał zatargi z tymi sąsiadami, do których sumienia i rozsądku napróżno przemawiał.

Nic więc dziwnego, że ani pani Chrustowska ani Hania nie знаły tych ludzi; poraz pierwszy wśród nich się znalazły.

— Ach, jak tu brzydko! — zawołała Hania, gdy bryczka skręciła na drogę pełną wybojów i śmieci, które wiatr rzucał w oczy jadącym.

— Lecz wyrazy jej zagłuszyło chrapliwe szczekanie psów, które wywołane hałasem kół, podskakujących po nierównej drodze, ujadają zawzięcie. Z drogi też zaczęły uciekać z krzykiem brudne i obdarte dzieci, z za drzwi chałup ukazywały się głowy ludzkie lecz zaraz znikają, nawet ciekawość i chęć ujżenia nowej twarzy, tak pospolita u wieśniaków, nie wywabiała mieszkańców.

— Toć to istna pustynia, albo jaskinia rozbójników! — ozwał się stangret, przystanąwszy, bo drożyna była zawalona wskroś drogi wozem, z którego koło spadło. — Człowiekby w nocy bał się tutaj przejeżdżać! — dodał.

— Dajcie mi lejce, Szymonie, a sami zejdźcie i zapytajcie się, gdzie mieszkała Jędrzejowa żołnierka, którą wczoraj pochowano.

Szymon spełnił rozkaz i opędzając się psom zdążył do najbliższej chaty.

— To pewnie tutaj, mamusi! — rzekła Hania. I wskazała na wyglądającego z za węgła chłopca, którego wczoraj widziała na grobie.

Chłopak patrzył ponuro, nie uciekał jednakże jak inne dzieci. Owszem, złapał ujadającego psa za ogon i chciał go przytrzymać, lecz usiłowania jego wywarły skutek wprost przeciwny. Pies skomlał, wyrwał się, aż uwlnościwszy się z rąk chłopca, począł przyskakiwać do bryczki, pokazując zęby. Tymczasem Szymon, pogroziwszy mu batem, przecisnął się około zepsutego wozu i szedł do chaty, której drzwi były od drugiej strony.

— Burek, Kusy! Łapaj! — wołała Hania, chcąc mu trafić na imię.

— To jakże się wabisz? — spytała, patrząc w nabiegłe krwią oczy psiska.

— I psy i ludzie jacyś inni i nieprzyjemni! — ozwała się matka.

— Kudłacz, do nogi! a pódziesz! — ozwał się głos, i do bryczki zbliżył się litościwy Piotr, który wczoraj powiózł trumnę zmarłej na cmentarz.

— Podobno jaśnie wielmożna pani chce wiedzieć, gdzie mieszkała Jędrzejowa, żołnierka — zapytał.

— Tak, mój dobry człowieku, wskażcie nam drogę, — rzekła pani Chrustowska.

— Ba, toć u nas; u nas! tutaj oto! — mówił, wskazując chatę, patrzącą na drogę brudnemi, małemi okienkami. I spoglądając ciekawie a podejrzliwie, dodał:

— A na cóż to jaśnie pani ta wiadomość?

— Mówiła mi jedna kobieta Piotrowa, że Jędrzejowa była bardzo biedna...

— Ba a juści, juści, toć my ją wczoraj, jak mogący pochowali, samem ją przecie zawiózł.

— A to wy, poczciwi jesteście — rzekła pani.

Chłop uśmiechnął się i poskrobał w głowę, jak gdyby go ta pochwała zawstydziła.

— A z tym małym po Jędrzejowej co się stało? — spytała Hania.

— Cóż się miało stać, siedzi u nas!

— To możebyście go dali do dworu, weźmiemy go! — odrzekła pani.

— Ja ta nie wiem, jak tam moja!

I znów poskrobał się w głowę.

— Więc zapytajcie się żony — wtrąciła Hania.

— Kiedy to moja taka miłosierna, że jeno ujrzy sirotę, to już nie popuści, zawdy się ulituje, chociaż i swoich jest dosyć.

— Pomówcie jednakże — rzekła pani.

Piotrowa zaś, wychyliwszy się za mężem, mówiła do siebie:



Lawina śnieżna w górach (p. str. 39)

— Jak Jędrzejka nie miała co w gębę włożyć, to się nikt nad nią nie ulitował, jak teraz, to najdą opiekuny. Zwiedzieli się śnać...

I zaraz wołać poczęła:

— Pawełek! Pawełek!

Chłopak stojący u węgła chaty, nie ruszył się jednak z miejsca. Owszem, przytulił się jeszcze więcej do ściany i wytrzeszczywszy oczy z ciekawością i strachem, przypatrywał się paniom siedzącym na bryczce.

— Poczekaj ty pieski synu! poczekaj! — mruzczała baba! — Dam ja tobie!

Weszła jednak do izby, ukroiła kawałek chleba i wybiegłszy wetknęła go w rękę chłopaka.

(d. c. n.)

14-y list Janka Ł. do Redakcyi „Wieczorów.”

23 sierpnia godzina siódma wieczór.

Kochani koledzy! Nie wysłałem dotąd poprzedniego listu, chociaż nakleiłem już nawet na nim markę, bo jestem bardzo strapiiony nietylko losem Roberta, ale i tem, że dotąd nie odebrałem odpowiedzi na telegram wysłany do ojca. Robert śpi, cały dzień miał gorączkę może ze zmęczenia, może dlatego, że wygłodzony jadł zbyt chciwie twarde chleb. Poszedłem jak zwykle do redakcyi, żeby nie budzić podejrzeń w hotelu, a że sam sprzątam mój pokój i sam czyszczyć sobie ubranie, (za szyling dziennie nie dają usługi), nikt więc nie wchodził do Roberta w czasie mej nieobecności. Musiałem bardzo natężyć uwagę, żeby nie zdradzić się w redakcyi, nadśluchiwałem też pilnie tego, co mówiono o wypadkach zaszłych w mieście, bo odkrycie spisku nie jest już dla nikogo tajemnicą. Jakiś młody reporter opowiadał nawet, że schwymano emisariusza generała de Weta, Roberta Burnsa.

— Czy wiesz pan to z pewnością? — zapytał redaktor — wiadomość byłaby bardzo ważna, gdyż Burns uważany jest za sprawcę całego zamachu. Gdzież go schwytano? Kto się odważył dać schronienie człowiekowi tak skompromitowanemu?

Spuściłem głowę, udając że piszę, bo chciałem ukryć moje pomieszenie, odetchnąłem jednak po chwili, reporter powtarzał plotkę, zasłyszaną w mieście, lecz niesprawdzoną wcale przez niego. Wracając z redakcyi, kupiłem butelkę wina i trochę zinnego mięsa, ale biedny Robert prócz wina nic do ust wziąć nie chciał. Pod wieczór uczuł się zdrowszym, otworzył przytomnie oczy i wyciągnął do mnie rękę, dziękując za przyjazd. Siadłem przy nim na łóżku, rozmawialiśmy długo; on chce koniecznie wracać do de Wetta, bo wierzy, że de Wett ocali Transwaal.

Uniósł się na poduszce i mówił przerywanym, ale tak donośnym głosem, że zamknąłem mu usta ręką, błagając, aby spoczął. Usnął też po chwili, a ja piszę; jest blady i to mnie pociesza, widocznie nie ma gorączki. Jutro wstanie zdrowy i jutro trzeba uciekać; nie ułożyliśmy dotąd żadnego planu. Cała moja nadzieja w tem, że mam rozkaz marszałka Roberta do władz angielskich, aby nie stawiono mi przeszkód w przejeździe na Świętą Helenę; rozkazem będę się bronił w razie aresztowania, a Burnsa przebiorę za mego służącego.

Tak, to wyborna myśl, mam pieniądze, kupię odpowiednie ubranie, przecież tatko nie weźmie mi za złe, że naruszyłem jego fundusz, pochwał mi owszem mój czyn. Tylko względem marszałka wyrzucam sobie niewdzięczność, on chciał mi dopomóc w odnalezieniu ojca, a ja użyję jego rozkazu dla ułatwienia ucieczki Burnsa. Ale czy użyję? Angolicy mogą odkryć schronienie mego przyjaciela i zaare-

szują nas obu, zanim uciec zdołamy. Słyszę nawet jakiś niezwykły ruch w hotelu, szczękanie szabel.

Może mi się zdaje?... nie, wyraźnie brzęczy broń w korytarzu. Ktoś idzie... pyta o mnie... puka. Co robić? Robert śpi... może go obudzić? może ucieknij oknem? Niepodobna, okno wychodzi na ulicę, a tam stoi pewnie straż... puka znów! Bóże ocal Roberta.

Ach, koledzy, czy pojmujecie moją radość! Robert śpi dalej w najlepsze, nie wie nawet, że drżałem o niego. We drzwiach, które otworzyłem nakoniec, stał adjutant marszałka, sir George Harris i oddał mi, zgadnijcie co?... Depeszę z wyspy Świętej Heleny!

Jego to szabla brzęczała w korytarzu. Chciał sam sprawić mi tę wielką, tę niesłychaną radość. Jaki on dobry, a ja nie mogłem nawet prosić go, aby wszedł odpocząć w moim pokoju, bo byłby tam zastał Roberta Burnsa. On zresztą sam wejść nie chciał, mówił, że powinienem nacieszyć się pomyślną od ojca wiadomością. Pocciwy sir Harris! Tak, wiadomość jest dobra, chociaż zawarta tylko w czterech słowach: „Zdrów, czekam twojego przyjazdu”. Nieznośne telegramy z ich drukowanymi literami i zwiększoną, o ileż miłszym byłby mi list napisany ręką taty, zwłaszcza, że tak długo na tę krótką wiadomość czekać musiałem; już to w czasie wojny nie robią sobie ceremonii ani z prywatnymi podróznymi ani z ich depeszami. Moja ustąpić musiała przed tysiącem innych, i dlatego odebrałem ją dopiero dziś. Depesza, skrawek papieru, cztery słowa, a ileż szczęścia dała mi wiadomość, przyniesiona iskrą elektryczną po pod falami oceanu. Jak dobrą rzeczą jest każdy wynalazek, najlepszym zaś chyba wynalazek telegrafu, bo pociesza stroskane serca. Moje bije tak głośno z radości, że powinnyby obudzić Roberta, lecz on chrapie w najlepsze. Ciekawy pasażer, przyznacie, koledzy.

Kochany ojciec zdrów Bogu dzięki, a ja tyle razy myślałem, że on może chory, może.. ale nigdy nie pisałem o tem, nie mogłem, są rzeczy tak okropne, że myśleć nawet o nich niepodobna. Jest też zdrów, wszystko więc jeszcze będzie dobrze.

(d. c. n.)

Dzieci polskie w Chicago.

(Z listu naszej korespondentki).

Serdeczne Bóg zapłać za łaskawe przesyłanie waszego dziennika, miły nam on tu, jak echo z rodzinnych borów, jak powiew orzeźwiający z ojczyściej niwy.

U nas bo tu inaczej, całkiem inaczej. Huk, stuk, szum, świst fabryk, zgrzyt kolei, uwijających się szybko we wszystkich kierunkach, kurz węglowy, dym, jak szara mgła, choć i tej nie brak w obecnej porze, otula wszystko szarym płaszczem tumanów swoich. Świat całkiem tu inny, a tak różny od naszego.

Pragniemy bardzo wywdziękzyć się za miłe echo z Warszawy, i odpowiedzieć na nie echem naszego tu życia, naszych prac, celów, dążeń, echem z serc polskich na amerykańskim gruncie wzrosłych, a często i zrodzonych już tutaj. Echo to pewno także będzie wam miłym, bo to echo serc bratnich, stęsknionych za matką, za życiem rodzinnym i marzących wciąż wbrew rzeczywistości, że ją ujrzą jeszcze i przytulą się do jej łona. A duża tu nas liczba, tak duża, że w naszej tu części miasta zapomnieć nam przychodzi żeśmy nie w kraju — gdzie się nie obrócić, polską się słyszy tylko mowę. Można tu żyć lata całe i nie potrzebować przemówić i słowa po angielsku, byle nie wychodzić poza obręb polskiej dzielnicy. 11 parafii polskich a w każdej z nich po kilka i kilkanaście tysięcy rodzin się skupia. A rodziny tu liczne, nie brak błogosławieństwa Bożego, dziatwy

jak mrowia; nie jest ona tu ciężarem ale pomocą. Ledwie osiągnie lat 12-tu i zwyczajem tutejszym przystąpi do Komunii św. już wychodzi ze szkoły parafialnej i idzie do pracy. zarobić zaś może do kilku dolarów tygodniowo, a z wiekiem i wprawą jeszcze więcej.

To też w naszej szkole parafialnej niespełna przed rokiem otwartej, na 300 rodzin 500 dziatwy mamy, a wszystkie bardzo zepsutym językiem mówią, bo więcej na ulicy wśród różnojęzycznej dziatwy lub w szkole publicznej z braku parafialnej wychowywały się dotąd. Rodzice dzień cały przy pracy zarobkowej zazwyczaj, zresztą i rodzice przemijają się tutejszemi wyrażeniami. Z początku trudno nam było zrozumieć miejscowych Polaków, przyjechawszy, pytamy 12-to letniej dziewczynki, która przyszła nam uprzejmie ofiarować swoje usługi.

— A daleko stąd do sklepu korzennego?
 — Tu nie ma wcale takiego.
 — A gdzie się wszystko kupuje co do jedzenia potrzeba?

— W *groserni* *abo storze* — powiada.
 — A rzeźnik jest tu blisko?
 — No, nie ma.
 — Któż więc mięsa dostarcza?
 — *Buczer*.
 — A daleko do niego?
 — *Dycht za jazdem na naszej strecie* (ulicy) *na drugim bloku, to mojej ciotki siostra* (cioteczna siostra) *jest z nim żeniata, to ja tam dycht codziennie chodzę, i moja siostra jest żeniata z buczerm, ale oni mieszkają dycht daleko na innej strecie.*

Niepodobna zliczyć wyrażań angielskich, które tu się tak utarły, przybrawszy końcówkę polską, że uchodzą za polskie. Przyczynia się do tego brak inteligencji wśród tutejszego polskiego wychodźstwa, a poza tem i inne miejscowego życia warunki. Szkoły parafialne nie mogą dostatecznie i skutecznie temu zaradzić choćby dla tego, że w ciągu stosunkowo krótkiego czasu od 2 do 5 lat muszą przygotować do Komunii świętej, wyuczyć dwóch języków i wykłady prowadzić tak, aby dziecko mogło przejść do odpowiedniej klasy w szkole publicznej, poza tem zmuszone utrzymywać się i rozwijać tylko własną siłą, muszą niejednokrotnie zbyt wielką liczbę dzieci w jednej klasie mieć, jednej nauczycielce oddawać, na czem cierpi nauka. Przytem dużo dzieci polskich chodzi do szkół publicznych, bo tam i nauka i książki darmo dostają. Obojętniejsi więc dla wiary i języka rodzice, posyłają tam swe dzieci, bądź aby uniknąć kosztu, bądź spodziewają się dla dzieci świetniejszej kariery, skoro ukończą szkołę publiczną.

Na chwałę jednak naszego ogółu przyznać trzeba, że dba bardzo o szkołę i kościół i nie żałuje na nie grosza. Kościoły, szkoły wnoszą się, upiększają, rozszerzają z dniem każdym. W sąsiedniej nam parafii św. Stanisława 3,000 z górą dzieci chodzi do szkoły, a oto od roku otworzono tam i kolegium św. Stanisława polskie z udziałem klasycznym 5-cio letnim i kupieckim 5 letnim, dla pragnących się kształcić wyżej i zawodowo.

Z drugiej strony mamy parafię św. Jadwigi, teraz wnoszą również nowy kościół, piękny, w stylu czysto romańskim, a stary już za szczupły, zamieniają na szkołę. Otwierają szpital polski. A i u nas na Maryanowie w nowej naszej parafii wspaniały mamy kościół. Do 3000 lamp i lampeczek elektrycznych oświetla go, to też majestatycznie wygląda oświetlony w czasie nabożeństwa. Pod nim 12 klas na 100 dzieci każda, a niżej jeszcze w suterrenach mieści się scena i hala teatralna na 1500 widzów i kilka innych hal na zebrania towarzystw parafialnych i meetingi. A wszystko to z dobrowolnych ofiar parafian powstało, utrzymuje się, opłacając wielkie procenta od zaciągniętych na budowę długów.

18/XI 1900 r.

ZE ŚWIATA.

Lawina śnieżna w górach (z ryc.) — 200 jubileusz królestwa pruskiego. — Życzenia noworoczne.

Rycina nasza przedstawia lawinę, to jest wielką masę śniegu, spadającą z gór i zrzadzającą swym upadkiem wielkie zniszczenie. Nieraz w Alpach domy i wioski całe były zasypywane i druzgotane przez lawiny, grzebiąc w rumowiskach ludzi i zwierzęta.

Lawiny tak zwane *wietrzne*, które powstają wtedy, gdy śnieg świeży i sycki zsuwa się ze spadzistości i rozsypuje dla braku spojności — nie są tak niebezpieczne, ponieważ nie mają takiego ciężaru i pędu, a przytem łatwiej się z pod nich wygrzebać. Daleko groźniejsze i straszniejsze są lawiny, które powstają wiosną na wysokich, niezaroślonych lasem pochyłościach, oddzielonych od dolin spadzistemi skałami, gdyż spadają wprost z szalonym pędem, niszcząc wszystko pod sobą. Również niebezpieczne są lawiny lodowe, utworzone z brył lodowych, oderwanych od lodników, czyli lodowców, pokrywających łańcuchy gór.

W dniu 18-m stycznia r. b. obchodzono w Berlinie nader uroczyste dwóchsetną rocznicę dnia, w którym elektor brandeburski i książę pruski Fryderyk III, za zgodą ówczesnego cesarza niemieckiego, Leopolda, koronował się w Królewcu i przyjął tytuł króla pruskiego. Przypominamy z tego powodu, że połączenie Prus Wschodnich, które jako lenne księstwo polskie przeszło od Krzyżaków do margrabiego brandeburskiego Albrechta (r. 1525), z Brandeburgią — nastąpiło po śmierci tegoż Albrechta (r. 1564) gdy za zgodą Polski i również na prawie lennem, objął je elektor brandeburski Joachim III z tejże samej dynastii Hohenzolernów. Potęgę Prus podniósł w latach 1640—1688 Fryderyk Wilhelm, zwany Wielkim Elektorem.

Korzystając z wojen szwedzkich, otrzymał zwolnienie od zwierzchnictwa Polski, powiększył armię i wzmocnił swoją władzę, znosząc wszystkie prawa stanów. Syn jego koronował się 18 stycznia 1701 r., a w dwieście lat później potomek jego jest już trzecim z kolei cesarzem zjednoczonych Niemiec.

Życzenia noworoczne są prastarym zwyczajem. W starożytnych grobach egipskich znaleziono flakoniki, powleczone niebieską glazurą, z napisem: „Kwiat otwiera się, i oto następuje rok nowy.” Te flakoniki, dzisiaj puste, lecz niegdyś niewątpliwie wonnemi maściami napełnione, dzisiaj osobliwości archeologiczne, niegdyś zaś przesyłane i przyjmowane radośnie podarunki — są niewątpliwie najstarszemi świadectwami panującego wśród ludzi obyczaju przesyłania sobie wzajemnych życzeń w dniu nowego roku. Rzymianie uważali dzień ten za *dies faustus*, dzień pomyślnej przepowiedni, i obchodzili go ofiarami na cześć Janusa, oraz przesyłaniem wzajemnem podarunków i życzeń. Te podarunki, *stremia*, przeszły w *étrennes* u Francuzów, którzy upominki zamieniają nie jak my na Gwiazdkę, lecz w dniu Nowego Roku. Podobnie jak z Egiptu pozostały nam flakoniki, tak ze starej Romy przeszły do pokolenia naszego osobliwsze „karty” z powinszowaniami noworocznymi — kawał wypalonej ziemi, na którym Rzymianin pewien życzy sobie i synowi swemu szczęścia. (*Annum novum, faustum, felicem mihi et filio*), tablica kryształowa z wyrzniętem na niej powinszowaniem dla cesarza Commodusa i cały szereg podobnych przedmiotów.

Najlepsze żywy dla młodzieży.

Chociaż wskazówki, które poniżej umieszczamy będą już być może na obecny czas ślizgawkowy spóźnione, jednak



„dobra rada nigdy nie przepada” i posłużyć może na przyszłość czytelnikom „Wieczorów,” uprawiającym ślizgawkę, a sądzę, że wszyscy i wszystkie, którym zdrowie na to pozwala, używają tej najlepszej z zimowych rozrywek.

Otóż „Sport,” pismo poświęcone specjalnie ćwiczeniom fizycznym, w kwestyi wyboru łyżew powiada, co następuje:

„Dla dzieci najodpowiedniejszymi łyżwami są te, które przymocowują się do podeszwy i obcasu za pomocą klamer, regulowanych mutrą lub śrubą. łyżwy takie zakładają się i odejmują łatwo, trzymają dość mocno i nie potrzebują wzmacniania paskami. Do tego należą znane oddawna niemieckie łyżwy „Merkury” i amerykańskie „Halifakxy.”

Obuwie tak do tego systemu, jak i do wszystkich innych — powinno być sznurowane, najlepiej ze skóry cielęcej, nie za ciasne lecz i nie za obszerne, z dość wysoką cholewką, bardzo dobrze pasujące na podbiciu, z podwójną podeszwą i obcasem wysokim na 2 do 3 cm.

Ściąganie paskami na podbiciu, a szczególnie w palcach — uważamy nietylko za nieodpowiednie, lecz nawet za szkodliwy sposób przymocowywania łyżwy, bo pasek wstrzymuje normalny obieg krwi, męczy w danym miejscu mięśnie i powoduje marznięcie nogi.

W. R.

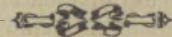


Obaj wzięli się z zapalem do roboty, mierząc, tnąc i ważąc z szybkością, wyżej wskazaną, ale Gerwazemu przerwy zajęły 9 minut i 20 sek., Protazemu zaś tylko 1 minutę i 20 sek.

Który z nich prędzej wykonał zadaną robotę i o wiel minut lub sekund wyprzedził współzawodnika?

N. B. Zadanie to pod względem rachunkowym, b. łatwe, wymaga jednak zwrócenia uwagi na wszystkie szczegóły. Dodajemy, że subjekci nie skończyli roboty równocześnie.

Za trzy najwcześniej nadesłane trafne rozwiązania tego zadania przyznamy trzy książki, jako nagrody: jedną dla prenumeratorów z Warszawy, drugą z gub. król. Polskiego, trzecią ze stron dalszych.



ROZWIĄZANIA DO N-ru 3 go

Zagadki: Pączek.

Arytmogryfu :

- 1) Tatarak. 2) Rosini. 3) Azot. 4) Nikopolis. 5) Sagowiec.
- 6) Włoch. 7) Aryanie. 8) Agamemnon. 9) Lewkonie. 10) Izar.

Transwaal i Kitschener.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna

W Austrii rocznie koron 13. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Baśń o zaklętej królownie i dzielnym żaku, przez A. L. Szymańskiego (z ryc.)— Od Henryka Sienkiewicza.— Świeca i lampa w wieku dziewiętnastym, przez St. Kramsztyka. — Paniczyk, przez Z. Morawską.— Czternasty list Janka Z. do Redakcyi Wieczorów (z ryc.) — Dzieci polskie w Chicago. — Ze świata: Lawina śnieżna w górach (z ryc.) — 200 jubileusz królestwa pruskiego. — Życzenia noworoczne. — Najlepsze łyżwy dla młodzieży. — Zadanie o dwóch subjektach do nagrody (z ryc.) — Rozwiązania łamigłówek. — **Dodatek:** Kłótnia (z ryc.) — Pogadanki z życia codziennego (sól). — Wycie szczęśliwe, wiersz przez Fr. Marca. — Piotruś i Basia przez A. Skibniewską. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — **Dodatek książkowy:** Dziedzictwo Karola Wielkiego, powieść historyczna z IX-go wieku Karola Deslys, przekład z francuskiego M. K.

Redaktorka **Ludwika Hauke.** Доволено Цензурою. Варшава 15 Января 1901 г. Wydawczyni **Marya z Chomętowskich Balińska.**

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.



KŁÓTNIA.

- Czego się to państwo tak boczą na siebie?
- A bo ja mam takiego dobrego brata.
- To ja mam taką miłą siostrę.
- Jaki brat, taka siostra.
- Jaka siostra, taki brat.

— A fe, łaskawi państwo tak się kłócić, jak dwa indory — gul! gul! gul! — gul! gul! gul! Powiedzciez mi spokojnie, o co wam poszło? Teraz milczycie, bo pewno oboje winni jesteście.

— Ja prosiłem ją o książkę, a ona mi jej nie chciała dać.

- I nazwałeś mię skąpicą.
- A czy to nieprawda?
- A po co mi wszystko psujesz albo gubisz?
- Więc się obejdę.
- Ach dzieci, dzieci! Posłuchajcie-no mnie chwilkę, opowiem wam prawdziwą historję.

— Było dwoje rodzeństwa, zupełnie jak was dwoje. Ojca nie pamiętali nawet, a mieli tylko matkę, dobrą jak anioł, ale za słabą dla nich. Nie słuchali jej też, jak po-

winni byli, a między sobą sprzeczali się bezustannie. Nie ze złego serca może — ale ot tak, z uporu, z prędkości... I cóż się stało! Mateczka wkrótce poszła za ojcem do nieba i z woli Bożej swarliwe rodzeństwo zostało rozdzielone z sobą. Brata wziął jeden wuj, siostrę drugi i rozjechali się daleko jedno od drugiego na końce świata. O jakże wówczas tęsknili do siebie, jak żalowali dawnych ciągłych kłótni i swarów. Od tej pory, gdy widzę sprzeczące się rodzeństwo, przypominam sobie zawsze tamtą parę.

— Co to? co widzę? łzy w oczach macie — ach, to wielkie szczęście! to Bogu chwała! Ja wyjdę, skoro się mną krępujecie, a wy tutaj czempredziej uściskajcie się serdecznie.

A. Z.

Pogadanki z życia codziennego.

SÓL.

Uzywacie codziennie soli, lubicie nawet nasypać jej trochę na kawałek chleba i zjadacie wtedy ten chleb z wielkim smakiem. A czy przyszło wam kiedy na myśl, skąd też bierze się ten biały proszek na stole. Przyniesiono go ze sklepu? O, to nie dosyć i kupiec musiał go gdzieś dostać. Ale skąd?

Mówiłem wam już nieraz, że w głębi ziemi kryją się wielkie skarby. Sól jest także wielkim skarbem i także przeważnie wydobywa się z głębi ziemi. Pytacie, dla czego sól nazywam skarbem? O, bo jest ona bardzo potrzebną dla naszego organizmu, a przytem czyni potrawy smaczniejszymi. Jakże się krzywicie, gdy kucharka poda mało osoloną zupę i jak skwapliwie sięgacie do solniczki.

Powiedziałam już, że najwięcej soli wydobywa się z głębi ziemi, chociaż są i inne sposoby jej otrzymywania. Otóż w ziemi znajdują się ogromne pokłady solne, i ludzie spuszcza ją tam i kopią ten cenny przedmiot codziennego użytku. Może wyobrażacie sobie kopalnię soli jak piękny jakiś zaczarowany pałac, z lśnąciami jak kryształ ścianami? Jeżeli tak myślicie, to po spuszczeniu się do kopalni, przekonalibyście się, jak bardzo się mylicie. Ciemno tu jest i ponuro, bo słońce nie dochodzi nigdy, a ściany soli nie rozjaśniają także drogi, bo są zupełnie ciemne.

Jakto ciemne? spytacie zdziwieni może, przecież sól jest biała. Tak, ta której wy używacie, jest biała, bo jest już oczyszczona, sól jednak w skale jest ciemna i takiej można nawet dostać na targach. Jak będziecie kiedy

w Krakowie, to zwiedzić zapewne kopalnie soli w Wieliczce, które są bardzo ciekawe, choć nie wyglądają, jak pałac z kryształu.

Mieszkańcy krajów nadmorskich otrzymują sól z morza. Słyszeliście zapewne nieraz, że w morzu znajduje się sól i stąd woda morska ma smak słony. Otóż mieszkańcy kopią nad morzem szereg sadzawek, do których spływa woda. Podczas gorąca woda ta paruje, a na dnie pozostaje sól.

Sól wydobywa się także z jezior i ze źródeł słonych. W jeziorach można ją znaleźć na brzegu podczas lata, gdy pod wpływem wielkiego gorąca część wody wyparowuje. Źródło słone czyli solanka znajduje się w Ciechocinku. Zapewne wiele z dzieci było w Ciechocinku i widziały one wielkie rusztowanie z chrustu, które nazywają się tęźnie. Woda ze źródła idzie w górę, potem spływa po rusztowaniu, rozbija się na krople, schnie i już jako silny roztwór soli spada do zbiornika. Potem należy ją jeszcze wygotować, aby nie zostało nic wody. Taka sól nazywa się warzonką.

Gdy dobrze przyjrzy się soli, to zauważy, że składa się ona z drobnutkich kryształków. Kryształki te mają kształt sześciątów. Wiecie, naturalnie doskonale co to jest sześciąt? To taka bryłka, co ma sześć ścian. Cegła np. jest sześcienna, pudełko także.

A czy wiecie, że i wy możecie otrzymać także kryształki soli? Bardzo łatwo. Napelnijcie szklankę wodą i wysypcie do niej soli tyle, aby zajmowała trzecią część szklanki. Wszystkie ta sól w wodzie się zapewne nie rozpuści, zlejcie więc wodę ze szklanki na spodeczek, postawcie na oknie, najlepiej w słońcu i zobaczcie za kilka dni. Wtedy przekonacie się, że woda ulotniła się, czyli wyparowała, a na dnie utworzyły się sześciatki soli. Mam nadzieję, że wam się to doświadczenie uda.

Z. K.

Wyście szczęśliwe.

Wyście szczęśliwe
Dzietki kochane,
Bo tylko tkliwe
Serce wam znane
Mama was pieści,
Kocha was tata —
Łza się boleści
Z wami nie brata.
Nie znacie głodu,
Zimna nie znacie,
I tak za młodu
Lubo wam w chacie.
Stróż anioł czuwa
W postaci matki,
I złe usuwa
Od was, me dzietki.
Nic wam nie rani
Serduszka w świecie,
Wy się kochani
Bawie możecie —

A gdyście grzeczne
Pilne, stateczne,
To wtenczas, dziecie,
Raj masz na świecie!
Lecz dzietki drogie,
Myślcie, pieczotki,
Jak to ubogie
Zyją sierotki?
Jak im dni płyną,
Ból sercem miota...
Ich nie ominą
Łzy i tęsknota.
Więc je opieką
Otoczcie swoją,
Te łzy co cieką,
Niech się ukoją,
A Bóg łaskawy
Kochać was będzie!..
Uczynek prawy
Miły jest wszędzie.

Fr. Marzec.

Piotruś i Basia.

(Dalszy ciąg).

— Wypadła na ziemię! — dokończyła Basia.
— Byłaby upadła, alem ją w porę złapał i nie dałem jej zwałać się w błocie,
— A ten pan? — zapytała Basia.
— Och! staruszek śpieszył się jeszcze bardziej, ani się obejrzał.
— Jakto, nie obrócił się, gdy go wołałeś, żeby oddać torebkę.
— A bo ja taki głupi, żeby wołać. Wypadła, to wypadła, nie moja w tem wina. Zresztą miał ich tak dużo, że tę mogłem bez wyrzutu sobie zatrzymać.
— Źle zrobiłeś! — rzekł Piotruś zasmucony.
— Źle! źle! Znowu te wielkie słowa, znowu morały! Właśnie, że bardzo dobrze. A gdyby torebka była upadła w błoto, gdyby ją byli podeptali, lub ktoś inny, pierwszy lepszy zabrał, cóżby z tego było lepszego?
— Ale ty widziałeś, kto i kiedy ją zgubił — wtrąciła Basia.
— Tembardziej więc ją sobie zabrałem — odpowiedział Jakóbek — żeby zrobić na złość temu, który się ze mną niegrzecznie obszedł. Bardzo jestem kontent, że miałem sposobność takiego figla mu spletać.
— Nie tłumacz się, Jakóbk, złe złem pozostanie — rzekł Piotruś, a Basia zaczęła zbierać i napowrót do różowej torebki wkładać cukierki, które na jej kolanach leżały.
— Ach, jakiś ty nieznośny, z twemi naukami — wykrzyknął niecierpliwie Jakóbek. Cokolwiek ktoś inny zrobi, czy zaproponuje, zaraz mnóstwo znajdziesz zarzutów, żeby go zganić. Nic ci się nie podoba, co nie ty sam wymyślisz. A taki, co chce być mądrzejszy od wszystkich, jest tylko zarozumiały!

— A taki, który naśladuje innych, bez zastanowienia się, czy to źle czy dobrze, bez poradzenia się własnego sumienia, taki jest jeszcze gorzej niż zarozumiały.
— Cóż ty chcesz mnie uczyć, rozkazywać mi? Czy myślisz, że się dam prowadzić na pasku?
— Nie Jakóbk, ja nikomu nie rozkazuję — odrzekł spokojnie Piotruś.
— Owszem, tak! Powiedz, czy to nie ty zabraniasz Basi jeść cukierki, któremi się przed chwilą tak cieszyła?
— O, to, wcale nie on! — zawołała żywo Basia.
— A więc kto? dla czego ich nie jesz?
Basia zawahała się chwilę.
— Bo nie są moje — rzekła w końcu.
— Ale kiedy ja ci je daję!
Basia znowu się zawahała, ale potem rzekła śmiało i stanowczo:
— Kiedy, bo one nie są też i twoje..
— Patrzcie no na tego dzieciaka, jaka mądra! Dobraliście się w korcu maku. Śmieszni jesteście i kwita. Patrzcie, do czego was prowadzą te piękne słówka i te skrupuły. W sam dzień Nowego Roku zajadacie takie specjały, jak chleb razowy i kawałek sera.

Piotruś podniósł dumnie głowę, a Basia mimowolnym prawie ruchem podniosła do ust porzuconą przedtem dla cukierków kromkę czarnego chleba.

— Tak, tak, udawajcie dumnych, ale nie wiem, czy wam to dużo korzyści przyniesie. Żołądki wasze i kieśnienie pozostaną zawsze i tak puste — szydził Jakóbek. — Ale doprawdy nie wiem, po jakiego licha tyle czasu z wami tracę, zamiast iść na ślizgawkę z miłszymi towarzyszami, którzy nie udają jakichś tam doskonałych. Mniejsza o to, że pogardzacie memi cukierkami, znajduję przecie takich, którzy je zjedzą z podziękowaniem, ale pamiętajcie, że odpokutujecie za obrazę, którąście mi wyrządzili.

To mówiąc, Jakóbek z pośpiechem pozbierał resztę cukierków, potem gwizdząc niby wesoło, szybko się oddalił.

Basia siadła zasmucona.

— Obraził się — rzekła.

— Lepiej, że on się obraził, niż żebyśmy mieli postąpić nieuczciwie, aby się jemu podobać.

— A jednak było to ładnie z jego strony, że się chciał z nami podzielić tem, co znalazł.

Piotruś pokręcił głową. — Coś mi się nie zdaje, żeby te cukierki były prawdziwie znalezione. Może Jakóbek, nie jest jeszcze do gruntu zepsutym chłopcem, ale widzi złe przykłady, i za nimi idzie. Bo nie ma dość silnej woli oprzeć się temu.

— Jacy my szczęśliwi, żeśmy mieli naszą dobrą babunię, która nas do pracy przyzwyczaiła.

— I że nas babunia nauczyła modlić się i Boga kochać i starać się robić dobrze, cokolwiekby to kosztowało.

— Ach, kiedyż my tę kochaną babunię zobaczymy?

— Kto wie, może prędzej, niż przypuszczamy — odpowiedział Piotruś.

Tak rozmawiając i trzymając się za ręce, wracali do domu na Starem Mieście, w którym stara Walentowa, kilkorgu równie biednym dzieciom przytułek, za małym wynagrodzeniem, w swej ubogiej izdebce dawała.

Tam pomodliwszy się do Boga, poprosiwszy Go o siły do pracy, zarobek i o powrót do babuni, zasnęli spokojnie.

ROZDZIAŁ II.

Nazajutrz o świcie już Piotruś był na nogach; zstawiwszy Basię jeszcze śpiącą, sam zabrał z sobą sznur i miotłę do wycierania sadzy i stanął na ruchliwej ulicy, oczekując, czy go kto do roboty nie zawezwie. Dzień był mglisty, niebo pochmurne, a powietrze przesycone wilgocią, przejmowało na wskroś zimnem.

Po chwili oczekiwania Piotruś usłyszał jakieś nieśmiałe kroki za sobą. Obejrzał się, to Jakóbek szedł, nie śmiejąc go zaczepić, pochmurny, milczący.

— Co ci jest, Jakóbkku? — zapytał Piotruś.

— Co mi jest! — odpowiedział Jakóbek tonem zgnębionym — to, że nic nie mam, ani grosza przy duszy; wczoraj grałem z kolegami w guziki i...

— I przegrałeś?...

— A tak, oszukali mię nieponie! ale ja im to oddam z procentem, a odbiorę moje pieniądze.

— Wierz mi — rzekł Piotruś — nie wracaj do nich, nic ci z ich złęgo towarzystwa nie przyjdzie. Gdybyś

tylko chciał porzucić te wszystkie nic nie warte gry i zabawy, a wziąć się do pracy, byłoby ci z tem wiele lepiej.

— Może radzisz dobrze, ale żeby pracować, trzeba znaleźć pracę, a ja jej nie mam. Czyszczenie kominów już mi się sprzykrzyło, a nic innego robić nie umiem.

— Słuchaj — rzekł Piotruś — najważniejsza rzecz, żebyś dziś nie był głodny, więc nie namyślając się co będzie dalej, chodź teraz ze mną, może znajdziemy jaką robotę dla dwóch, a jeśli nie, to podzielimy się tem, co na jednego wypadnie.

— O, ty jesteś prawdziwym przyjacielem! ty masz złote serce! — zawołał Jakóbek z zapałem. — Chciałbym być do ciebie podobny, cóż, kiedy nie umiem wytrwać w dobrych zamiarach, nie umiem oprzeć się pokusom.

— Bo nie jesteś przyzwyczajony do walczenia z niem. — Spróbuj jednak raz przecie...

Gdy tak rozmawiali, rozległ się głos kobiety z pierwszego piętra:

— Hej tam, kominiarzu, chodź-no tu na górę!

Chłopcy z radością przyjęli wezwanie, weszli czemprędzej do sieni porządnej kamienicy schodami na pierwsze piętro.

— A to szczęśliwie się złożyło — mówiła służąca, wpuszczając ich do mieszkania, żeście tędy właśnie przechodzili. Nie potrzebowałam was szukać. Wczoraj, gdy zapaliłam na kominku, taki się dym zrobił w całym mieszkaniu, że pan wychodząc z domu nakazał, żeby koniecznie dziś kominek był wyczyszczony z sadzy. Nie ciągnie, czy co? A tu wieczorem znów palić trzeba.

Tak rozprawiając, służąca zaprowadziła chłopców do pięknie urządzonego gabinetu swego pana, który był doktorem. W oszklonych szafach na stołach i biurku pełno tam było książek i różnych naukowych przyborów. Ale chłopcy nie rozglądając się wiele, wzięli się zaraz do roboty. Komin był ciasny, więc Piotruś jako mniejszy podjął się go czyścić, Jakóbek miał mu niby pomagać.

Podczas gdy Piotruś zdejmował wierzchnie odzienie, Jakóbek poszedł za służącą po ścierkę do zakrycia otworu, gdy wrócili, Piotruś zręcznie wsunął się już był w komin, skąd za chwilę rozległa się nuta, wesołego krakowiaka, widocznie chłopiec rad był, że znalazł zarobek i że towarzysza z sobą pociągnął.

Zręczny i zwinny, prędko ukończył robotę, gdy się napowrót zsunął na podłogę, nie było właśnie w pokoju nikogo. Trwało to wszakże zaledwie krótką chwilę. Niebawem ze służącą nadszedł Jakóbek, niosąc wiadro, miotłę i ścierkę do zbierania opadłej sadzy.

Piotruś ofiarował swe usługi w uprzątnięciu pokoju, ale Jakóbek nie miał widać czasu, gdyż naglił towarzysza, żeby nie marudzić.

(d. c. n.)

METAGRAM.

Kiedy w skromnej zagrodzie, po skończonem żniwie,
Rolnik już przedmiot przez B napelni szczęśliwie;
Naówczas błaga Boga, by mu łaską sprzyjał,
By jego przedmiot przez P zły przypadek mijał.
A człek przez W z trzech równych też złożony głosek,
W swej złości mu nie szkodził, ni na jeden włoszek.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Dla Lili Cz. od Halki H.

Z sylab: Py—log—mal—cze—o—chy—ta—e—al—pi—kin
—grzy—ry—par—tu—vi—jasz—ni—ra—u—fran—e—gle—
pal—zop.—i—ki—chmiel—ca—i—va—za—sza—i—wer—
ska—no—re—cki—ułożyć piętnaście wyrazów, których litery
początkowe, złożone powinny imię i nazwisko słynnego podróżnika
włoskiego z XV w.

Znaczenie wyrazów: 1) Góry w Szwajcaryi. 2) Wyspa na
morzu Śródziemnym. 3) Zakończenie powieści lub poematu. 4)
Żarłoczna ryba morska. 5) Ćwiczenia siły u star. Greków. 6) Lo-
dowce na wysokich górach. 7) Kamień kosztowny. 8) Miasto we
Francyi. 9) Bajkopisarz grecki. 10) Roślina z rodziny kosaćco-
waty. 11) Greckie boginie losu i przeznaczenia. 12) Wstęp
do utworu muzycznego. 13) Rzeźbiarz włoski. 14) Słynny ataman
kozacki. 15) Prorok izraelski.

ŁAMIGŁÓWKA KROPKOWANA.

Kr. o l Jag i e h o b i l Krz. ła k.
A p a n Kr. p. a c h e l b y é t a k.
D. r. m. k. s. s. z s. . n. b. ż.
Kr. p. j. g. l. b. é n. . m. ż.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 3.

Szarady: Fa — wor — ki.

Łamigłówniki sylabowej:

- 1) Baba. 2) Odra. 3) Lena. 4) Etna. 5) Sowa. 6) Łodyga.
7) Ararat. 8) Wilk.

Bolesław.

Skrzynka do listów.



Proszę Dzieci Rohatyńskich spełniać i „Wieczory” posy-
łać będziemy.

Żadaną książkę pani W. w Łomży wysyłamy.

M. Sz., bajka do druku się nie nadaje; styl, język, rytm
i rytym wszystko niestety szwankuje.

Zanim jakkolwiek kartkę z pamiętnika Jadzi wydrukujemy
w „Wieczorach” — radzimy, aby się Jadzia zabrała na serwo do
nauki i rozrywek odpowiednich jej wiekowi, a marzenia o balach
i konnej jeździe odłożyła na później. Jedyną zaletą nadesłanej
kartki jest chyba szczerłość wynurzeń, ale ortografia i styl na-
der słabe.

A. L. S. Prosimy o pofatygowanie się do Redakcyi dla
omówienia kilku podniesionych przez niego projektów.

Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu
nadesłali: Gustawa, Jadwiga i Roma W., Hamilkar z nad Newy,
Stefan Żeleński, Napoleon, Zwiny Jelouek, Marcin i Staś, Złoty

Sokół, Złota Szabelka, Teresa B., Lilijka z Chmielnej, Bezimien-
ny, Lilijka, Bławatek z Humania, Lilijka, Listek, Mania K., Orzeł,
Malinka, Biała Róża i Jagódka, Michał Botha i Listek. Mylnie
rozwiązanie zagadki z Nr. 3 podała Helena Tr.

I pozwalam i proszę, aby Mania i Orzeł odzywali się do
mnie tak często, jak im na to czas i ochota pozwolą. Łamigłó-
wki złożyłam w Redakcyi, jak prędko pomieszczone zostaną, po-
wiedzieć napewno nie mogę. Przechodząc koło Redakcyi, sami
może znajdziecie po prospekt, bośmy go rozesłali wszystkim w ro-
ku zeszłym.

Bardzo cię żałowałam Mary L., że chorowała podczas świąt,
influenza tegoroczna wszystkim się nam daje we znaki i mnie ona
popsuła trochę święta, ale prędko przeszła. Wystawa kart po-
cztowych trwała tylko tydzień, posyłam ci kartę pamiątkową,
która mi jeszcze pozostała.

Zazdroszczę wam Irenko i Zosiu M., że używacie wybornej
sanny, to taka miła rozrywka, a my ani w Warszawie, ani w jej
okolicach nie widzieliśmy tej zimy śniegu. Czy same przedsta-
wicie szopkę i w jaki sposób? Bardzo mnie to zajmuje, bo i sa-
ma lubiałam kiedyś urządzać szopki. Za kartkę dziękuję i uści-
śnienie dla was i małego braciszka przesyłam.

Wodnej Trawce wysłaliśmy kalendarzyk wraz z innemi, wi-
docznie zaginął na poczcie, jeżeli go dotąd nie otrzymałaś. Wy-
słaliśmy powtórnie drugi egzemplarz do księgarni. Święta szyb-
ko minęły, a tylko ich miłe wspomnienia odzywają się dalekiem
echem w waszych listach, gdy mi opisujecie gwiazdkę, co komu
przyniosła i jak radosne chwile spędzałyście u stóp drzewka,
przystrojonego kochającą ręką rodziców. Chwile te w dalszym
życiu pozostaną wam nazawsze świetlanym wspomnieniem.

Malince z pod Nowo Radomska. Jak to często zaznaczam
w mych odpowiedziach, nie zajmuję się łamigłówkami i nie wiem,
czy zadania są przyjęte i kiedy będą drukowane. Tak się rzecz
ma i z waszym arytmogryfem, choć ułożony dla mnie, nie wiem
kiedy zostanie pomieszczony. Bardzo się ucieszyłam obietnicą,
że nie będę już miała powodu utyskiwać na brak pamięci z wa-
szej strony. Jagódce życzę prędkiego powrotu do zdrowia i dla
trzech siostrzynek serdeczne pozdrowienia łączę.

Rada jestem i dumną się czuję, że osóbką, ukrywającą się
pod wspólnym pseudonimem Wielkiej Bohaterki, pragnie się ze
mną zapoznać. Czy odwaga stanowi rys wybitny twego chara-
kteru, czy też tylko „bohaterów” wielbicieleką jesteś? Wafdzia
jest osóbką prawdziwą, i rzeczywiście udała się z rodzicami do
Azyi. Dziennik jej przysłał Redakcyi jej ciotka. Wkrótce rozpo-
cznie się dalszy ciąg tego dzienniczka.

Czy ty wiesz Wiosenko, że twoje życzenie już się sprawdzi-
ło, bo przed dwoma tygodniami spędziłam parę dni w twym ro-
dzinnem mieście i raz nawet spacerem, ale nie na chyżych skrzy-
dłach, lecz by użyć dobrej sanny, której w Warszawie nie mamy,
przejeżdżałam koło domu, w którym mieszkasz i „nieznana — nie-
znanej” przesyłałam ci pozdrowienia milczące. A możeś ty wtedy
była zajęta owym plackiem migdałowym, o którym w liście wspo-
minasz? Bardzo mnie cieszy, gdy w korespondentkach moich
spotykam zamiłowanie do gospodarstwa, tak ono potrzebne ka-
żdej kobiecie, a nie przeszkadza ani naukom, ani żadnym talen-
tom, ani zamiłowaniom do czytania, jak błędnie sądzą niektóre
panienki. Z ciebie, Wiosenko, wyrosć powinna dzielna kobieta,
bo w wychowaniu twojem nie zaniedbano niczego, ale pamiętaj, że
„komu wiele dano, od tego wiele wymagano będzie.” Siostrzy-
czki i braciszka uściśnij ode mnie, za ładną kartę dziękuję.

Antosiewi B. Zaginione numera posłano, rubel zapisany na
Kolonie Letnie. Za serdeczne pozdrowienia dziękuję i nawza-
jem pozdrawiam.

Hajduczkowi z Wiru, Gosposi z Wyszogrodzkiej ziemi, Antol-
ce i Aldonce dziękuję bardzo za ładne karty.

Szczerze wam przyjazna

Juskółka.